

W Węzłach Księżycy

Seria Istoty Nocy

The Moonlight Bond

Aylin Red

Adnotacja od autorki

Istoty Nocy to seria paranormalnych romansów dla dorosłych, zawierająca elementy dark romance, urban fantasy oraz thrillera psychologicznego.

W książkach pojawiają się m.in. przemoc, śmierć, manipulacja, trudne i niezdrowe relacje, moralnie niejednoznaczne postacie, intensywne sceny emocjonalne oraz treści erotyczne.

To historie o bohaterach, którzy nie zawsze podejmują dobre decyzje i nie zawsze są dobrymi ludźmi. Relacje przedstawione na kartach książek są elementem fikcji i nie powinny być traktowane jako wzorzec zdrowych relacji w rzeczywistym świecie.

Seria przeznaczona jest wyłącznie dla pełnoletnich czytelniczek i czytelników (18+) i ze względu na swoją tematykę może nie być odpowiednia dla każdego.

Proszę, zadbać o własny komfort podczas lektury.

*Czasami zemsta nie jest odpowiedzią, której
szukasz.*

Rozdział 1

Widziała tylko płatki róż.

Czerwone jak świeżo rozcięta żyła, rozsypane po drewnianej podłodze domu jej dzieciństwa. Przy każdym oddechu metaliczny zapach wgryzał się jej w nozdrza i mieszał z mdlącą słodyczą kwiatów, przez co nawet we śnie żołądek podchodził jej do gardła.

Miała ledwie dziesięć lat. Drobne dłonie przycisnęła do ust tak mocno, że przez skórę poczuła własne zęby. Tłumiła krzyk, który rwał się z gardła i nie miał dokąd ujść. Cienie poruszały się w księżycowym świetle w sposób, który nie miał prawa istnieć, a cisza po odgłosach dobiegających z parteru ciążyła bardziej niż kamień.

Dygotała, kiedy mężczyzna, który ją odnalazł, podniósł ją i wziął na ręce. Jego ciepło przebijało się przez lodowaty koszmar wgryziony w jej kości, przez dreszcze, płacz i zimno, które siedziało głębiej niż pod skórą.

— Ciii — szepnął, biegnąc przez las.

Jej małe ciało podskakiwało przy każdym jego potężnym kroku. Koszula pachniała lasem i czymś dzikim, więc wczepiła się w materiał obiema pięściami.

— *Wiem, mała. Wiem.*

Łzy wsiąkały w jego koszulę, a gardło paliło ją od szlochu. Za nimi dom malał z każdym krokiem, aż zniknął między drzewami.

Ale czerwone płatki kwitły w jej pamięci wiecznie.

— Aaa!

Lune wyrwała się ze snu z gwałtownym wdechem. Serce tłukło jej o żebra tak mocno, że czuła puls w gardle, a zimny pot przykleił włosy do skroni. Dłonie zaciskały się na pościeli, szukając czegoś konkretnego i znajomego, lecz znajdowały tylko wilgotną, splątaną bawełnę, gorącą od jej ciała.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, łapiąc powietrze w urwanych szarpnięciach. Czekala, aż ciemność pokoju wypełni się czymś prawdziwym: kształtem komody, kredensem pod ścianą, srebrnym pasmem księżyca na deskach podłogi.

Tam.

Tylko tam.

Zsunęła nogi z materaca. Chłodna podłoga przyjęła jej bose stopy, a zimno natychmiast weszło w podeszwy i wspięło się po łydkach, aż mięśnie zaprotestowały przeciwko nagłemu kontaktowi.

W lustrze naprzeciwko złapała swoje odbicie: białe włosy przyklejone do szyi, oczy otwarte zbyt szeroko i napiętą wokół nich skórę kogoś, kto dopiero przed chwilą przestał się bać. Za duży t-shirt zsunął się z jednego ramienia.

Żołądek mruknął.

— Czas na śniadanie — mruknęła i ruszyła ku drzwiom.

Na korytarzu mijała ścianę rodzinnych zdjęć. Każde tkwiło w ramce dobranej przez Vivikę z pedantyczną starannością i wisiało tak, by razem tworzyły historię. W salonie piętrzyły się poduszki w ziemistych odcieniach, a świeże polne kwiaty z ogrodu chyliły białe główki ku szybie kuchennego okna.

Kuchnia przyjęła ją falą zapachów kawy, cynamonu i wanilii. Pod ściereczką wciąż czekało ciepłe śniadanie. Vivika siedziała przy drewnianym stole, obejmując parujący kubek obiema dłońmi. Jej blond włosy łapały poranne słońce złotymi nitkami, a szare oczy zmrużyły się łagodnie, kiedy się uśmiechnęła. Ten uśmiech natychmiast rozpromienił całą jej twarz.

— No proszę, no proszę, śpioszek wstał — powiedziała ciepło.

— Siemka. — Lune skierowała się prosto do lodówki.

Jej bose stopy bezszelestnie sunęły po kafelkach. Kiedy zajrzała do środka bez konkretnego zamiaru, zimne powietrze musnęło jej wciąż rozgrzane policzki.

— Podgrzałam naleśniki. — Vivika skinęła głową w stronę blatu. Spod czystej ściereczki wciąż unosiła się para. — Wszystkie twoje.

— Mi dwa razy mówić nie trzeba.

Złocistobrazowy stos czekał równo ułożony, a masło topiło się między warstwami w żółte, lśniące kałuże. Lune głęboko wciągnęła zapach. Wanilia i cynamon uderzyły natychmiast, a ślinka napłynęła jej do ust, zanim zdążyła usiąść. Żołądek burknął głośno i zupełnie bez wstydu.

Przyciągnęła do siebie cały talerz. Pierwszy kęs eksplodował smakiem, idealnie słodkim i tak ciężkim, że przykrył resztkę metalicznego zapachu z tyłu gardła.

— Tata już jadł? — Oboje rodzice wstawali z pierwszym brzaskiem, ponieważ ich wilczy instynkt domagał się wczesnych poranków. Zegar w kuchni ledwie dobijał dziewiątej.

— Tak. — Uśmiech Viviki ani na moment nie przygasł. — Nalać ci kawy?

— Jasne, mamó.

Rozmawiały o drobiazgach, podczas gdy Lune pochłaniała śniadanie: o liście zakupów, plotkach z watahy i planach treningowych.

Vivika mówiła z łagodną czułością kogoś, dla kogo każdy człowiek znajdujący się w zasięgu wzroku był wart uwagi. Śmiała się łatwo i bez wysiłku, a jej śmiech wypełniał kuchnię jak muzyka.

Kiedy ostatni kęs zniknął z talerza, Lune przeciągnęła się. Stawy cicho zatrzeszczały, ramiona się rozluźniły, a koszmar odsunął gdzieś w głąb, przykryty wanilią i ciepłem.

— Dzięki za śniadanie, mamó. Jesteś najlepsza.

— No już, już. — Vivika machnęła ręką z udawaną dezaprobatą, ale jej policzki zaróżowiły się z przyjemności.

Lune wbiegła po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. W pokoju pootwierała szuflady i przebrała się w ciemnoniebieski strój treningowy. Włożyła solidne buty, na których podeszwach zostały ślady poprzednich sesji. Zawijając sznurówkę, przez chwilę cieszyła się spokojem poranka, bez pytań pozbawionych odpowiedzi i metalicznego zapachu.

Za drzwiami poranne powietrze uderzyło ją w twarz. Było rześkie i przesycone zapachem sosen oraz żywicy, który wciągnęła głęboko do płuc. Słońce przesączało się przez korony drzew, rzucając długie, tańczące cienie na ubity trakt.

— Hej, śpieszku!

Krzyk doleciał z polany. Raven machała do niej spod ściany drzew, przestępując z nogi na nogę w podniszczonych trampkach i różnokolorowych skarpetkach. Słońce rzucało miedziane błyski na rude loki, a piegowatą twarz rozjaśniał uśmiech z lekko krzywymi zębami. Drżała z ekscytacji jak ktoś, kto ma za dużo energii na własne ciało.

Obok Raven stała dobrze znana, szeroka sylwetka.

Żołądek Lune opadł i natychmiast odbił w górę, zanim zdążyła zapanować nad twarzą.

Nathaniel opierał się o pień dębu ze skrzyżowanymi ramionami. Zanim właściwie go zobaczyła, poczuła ten ciężar, który zawsze w sobie nosił. Kilka kosmyków spadało mu na czoło i łapało przefiltrowane słońce. Jego spojrzenie znalazło ją zbyt szybko, a rozbawienie siedziało w nim wcześniej niż cała reszta.

Na ustach zatańczył mu ten wkurzający półuśmiech.

— Zajęło ci to trochę. — Głos niósł się przez poranną ciszę.

Lune ruszyła truchtem w ich stronę, a jej buty zachrząściły na igliwiu. Im była bliżej, tym więcej dostrzegała szczegółów: palce Raven poplamione farbą po kolejnym zrywie oraz kosmyki Nate'a, które przy każdym oddechu opadały mu na czoło.

— Przepraszam, przepraszam! — Policzki zaczęły jej się rozgrzewać, zanim jeszcze do nich dobiegła. — Zagadałam się z mamą.

Nate jednym leniwym ruchem odepchnął się od drzewa. Rozluźnił barki i wyciągnął rękę, a jego szeroka, ciepła dłoń wylądowała na jej głowie. Ciepło przeszło od skroni w dół szyi, aż do obojczyka, zanim zdążyła się przygotować. Potargał jej białe włosy z kompletnie bezmyślną czułością, jakby było to czymś absolutnie oczywistym.

— Nasza mała nimfa wodna.

Zawsze to robił. Traktował ją jak młodszą siostrę, a nie kobietę z krwi i kości. Ciepło zatrzymało się pod jej obojczykiem, a wzrok Lune na ułamek sekundy za długo spoczął na linii jego szczęki, zanim siłą go oderwała.

Raven podskoczyła w miejscu i klasnęła w dłonie.

— Ooo, robimy poranne przebieżki? Powiedz, że robimy! Ćwiczyłam technikę i chyba już wiem, jak ominąć tę żalostną glebę z zeszłego tygodnia, kiedy próbowałam przeskoczyć powalony pień i—

— Będą przebieżki. — Nate uciął słowotok jednym słowem, z pobłażliwym rozbawieniem.

Oboje odsunęli się o kilka kroków. Powietrze wokół nich zadrżało od nienazwanej energii, którą Lune znała od dziecka. Była to chwila tuż przed przemianą, kiedy ludzki świat znikał, a jego miejsce zajmowało coś dzikszego i prawdziwszego.

Raven zmieniła się pierwsza. Jej drobna sylwetka wydłużyła się przy cichym trzasku kości układających się w nowych miejscach, aż tam, gdzie przed chwilą stała dziewczyna, pojawił się rdzawobrzędy wilk. Futro połyskiwało miedzianymi refleksami, a ogon merdał z tą samą niezahamowaną energią, która chwilę wcześniej rozpierała całe jej ciało.

Przemiana Nate'a była inna.

Wolniejsza.

Mięśnie napinały się i rozlewały pod jego skórą, szukając nowego kształtu. Wszystko odbywało się pewnie i bez wysiłku, jakby ludzka forma była czymś, co nosił dla innych, nie dla siebie. Tam, gdzie przed chwilą stał Nathaniel, pojawił się masywny wilk. Jego niemal czarną sierść przecinały srebrzyste nitki, które łąpały światło przy każdym oddechu. Nawet w tej postaci miał w sobie spokojny autorytet, przed którym reszta watahy instynktownie cofała się o krok, choć nie zawsze wiedziała dlaczego.

Rzucili się przed siebie bez ostrzeżenia. Potężne łapy wzbily kurz, po czym pochłonął ich las.

— No to jedziemy!

Lune sięgnęła po magię, po tę ciągłą, niską wibrację w żyłach. Woda odpowiedziała natychmiast. Zebrała się z porannej rosy i pobliskiego strumienia, chłodna i posłuszna, po czym uformowała pod jej stopami twardą, nośną powierzchnię. Ciecz popchnęła ją do przodu, a śmiech sam wyrwał jej się z gardła i popłynął razem z nią między drzewami.

Dogoniła ich i wskoczyła na szerokie plecy Nate'a. Palce wplotła w gęste, ciepłe futro, którego żar przenikał nawet przez rękawiczki, stały i pewny jak wszystko w nim. Nate jedynie przesunął środek ciężkości. Jego barki dostosowały się do jej ciężaru, po czym pobiegł dalej z tą samą bezwiedną rutyną, co tydzień.

Ich rytuał.

Lune, mag wody wychowana przez wilki, dotrzymywała im kroku dzięki magii zamiast przemiany.

Tu pasowała.

Tutaj, z figlarnymi popiskiwaniami Raven odbijającymi się echem między drzewami i stałą siłą Nate'a pod sobą, wszystko było naturalne.

Pognali głębiej w las ścieżkami wytartymi przez niezliczone wilcze łapy. Korony drzew filtrowały światło, zanurzając ich w zielonkawym półmroku pełnym starych sekretów.

Wkrótce spomiędzy gęstwiny wyłonił się znajomy zarys kryjówki, domu watahy Vossów i wszystkiego, co dla Lune liczyło się najbardziej.

Kryjówka wyrastała z lasu, jakby sama narodziła się z ziemi. Masywne, drewniane konstrukcje stapiały się z sosnami, a ściany z bali zdążyły nabrać ciepłego, miodowego odcienia. Między gałęziami połyskiwały sprytnie ukryte panele słoneczne. Na obrzeżach migotała bariera zakłęcia, niewidoczna dla ludzkich oczu, lecz krystalicznie wyraźna dla wszystkich pozostałych.

Przy bramie Lune zsunęła się z grzbietu Nate'a i miękko wylądowała na ubitym gruncie. Wilki przemieniły się z powrotem. Magia przeszła przez ich ciała niczym fala gorącego powietrza, a skóra zacisnęła się wokół ludzkich kształtów. Po chwili Nathaniel znów stał przed nią jak zawsze, z ciemnymi włosami rozczochranymi po przemianie i jednym kosmykiem opadającym na czoło.

Przeczesał je dłonią. Kosmyk i tak wrócił.

— Poranny patrol za piętnaście minut. — Zatrzymał na niej spojrzenie o ułamek sekundy za długo. Coś mignęło w jego brązowych oczach i zniknęło, zanim zdążyła to uchwycić. Potem ruszył w stronę biura strażników. — Tylko nie pakuj się w żadne kłopoty, jak mnie nie będzie.

— Czy ja kiedykolwiek pakuję się w kłopoty? — odkrzyknęła za nim.

Jego parsknięcie poniosło się po dziedzińcu jako najlepsza możliwa odpowiedź.

Dom wspólny stał w sercu osady. Miał trzy piętra, z komina sączył się dym, a z okien wylewało się złote światło. Raven wbiegła na schody, wciąż z lokami rozczochranymi po przemianie.

— Pani Henley mówiła, że dziś robi muffiny z jagodami. Powiedz, że nie jesteśmy za późno!

Ciężkie dębowe drzwi otworzyły się, wypuszczając falę zapachów kawy, ciasta i tego głębszego, zwierzęcego aromatu wilczej ziemi, ciepłego i nie do podrobienia. Margaret Henley wyszła z kuchni z mąką na fartuchu. Miała sześćdziesiąt pięć lat, a zmarszczki wokół oczu opowiadały o dekadach śmiechu.

— Cześć, dziewczyny!

W głównym pokoju Connor leżał na kanapie z książką, natomiast bliźniaczki Murphy zajęły stół wraz z talerzem muffinów, które najwyraźniej same się tam znalazły. Niedbałe przywitania i machnięcia rąk otulały Lune jak koc.

— Lune, skarbie. — Destiny uniosła wzrok, a w jej piwnych oczach zatańczyła plotkarska nuta. — Twój tata siedzi w biurze od wschodu słońca. Wyglądał na zawalonego alfa-biznesami.

Słowa przypomniały jej o tym, o czym i tak nigdy nie potrafiła zapomnieć.

Adam nie był jej biologicznym ojcem. Przez dziesięć lat ani razu nie pozwolił jej poczuć różnicy. Wataha miała jednak prawa dziedziczenia, których miłość nie potrafiła przepisać.

— Dzięki, Destiny. — Wlała w głos tyle lekkości, ile zdołała. — Pójdę powiedzieć mu dzień dobry.

Biuro Adama zajmowało narożny pokój na drugim piętrze, z którego okna wychodziły jednocześnie na plac treningowy i główne wejście. Było to miejsce kogoś, kto zawsze chciał wiedzieć, co działo się na jego terytorium.

Schody cicho trzeszczały pod ciężarem Lune. Zatrzymała się przed znajomymi drzwiami i zapukała dwukrotnie.

— Proszę.

Wsunęła się do środka.

Adam siedział za masywnym biurkiem, a jego włosy w odcieniu soli z pieprzem łapały poranne światło wpadające przez okno. Na blacie leżały rozsypane papiery: porozumienia terytorialne, korespondencja z innymi Alfami i lista zaopatrzenia.

Kiedy ją zobaczył, jego brązowe oczy natychmiast zmiały. Ten ciepły wyraz przez ostatnie dziesięć lat koł jej koszmary i towarzyszył wszystkim sukcesom. Adam odchylił się na fotelu i przeniósł na nią całą uwagę.

— Dzień dobry, skarbie.

Lune przestąpiła z nogi na nogę. Nagle znów miała dziesięć lat i była niepewnym dzieckiem, które odnalazł tamtej nocy.

— Pomyślałam... Może mogłabym pomóc przy czymś — na przykład przy patrolu? Albo czymkolwiek.

Słowa potoczyły się zbyt szybko. Chciała tego bardziej, niż zamierzała pokazać. Twarz Adama złagodniała, ale Lune wychwyciła to krótkie mignięcie, które zbyt szybko przykrył miłością. Może był to żal. Może frustracja.

Może jedno i drugie.

— Lune... wiesz, że nie możesz. Służba w patrolu to bardzo odpowiedzialne zadanie.

— Właśnie dlatego chciałam pomóc.

— Trenujesz z Niną. — Uśmiechnął się z dumą, pod którą kryło się coś, od czego robiło jej się ciasno w piersi. — Będiesz robić cuda. Magia wody to niesamowita umiejętność.

Nina.

Mag wody, do której Adam dotarł dzięki kontaktom z innymi magami. Dwa razy w tygodniu, zawsze punktualnie. Lune za każdym razem dziękowała i po wyjściu uśmiechała się odpowiednio długo.

— Taa.

Wycofała się z biura i wyszła na szeroki ganek. Deski pod stopami były solidne i znajome, ale w tej chwili także odrobinę duszące. Opadła na bujany fotel i wyciągnęła telefon ruchem, który przez ostatnie miesiące stał się odruchowy.

Dziś w nocy te dwa światy miały się zderzyć.

Interfejs Jaskini wczytał się błyskawicznie. Jej ranga, pięć gwiazdek i absolutne dno hierarchii, ograniczała dostęp do najprostszych zadań. Były to głównie dostawy, wymagające bardziej dyskrecji niż umiejętności. Przewijała listę palcem, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby jej poczuć, że dokłada coś od siebie do większego świata.

Większość watahy nie miała pojęcia.

Wiedziała tylko Raven.

Pozostali pewnie by się martwili albo, co gorsza, próbowali ją zatrzymać nawet przy takich drobiazgach.

Zwłaszcza tata.

Kiedy jednak siedziała tutaj, otoczona ludźmi, których kochała, lecz do których nigdy nie należała w pełni, ten sekret pozostawał jedyną rzeczą w stu procentach jej własną.

Lune wpatrywała się w treść zlecenia.

Jej kciuk zawisł nad przyciskiem.